



Im. Anonimowy, 2. 2. 7.

29 LISTOPADA.

I. DUSZA POLSKI DO ZWŁOK POLSKI.

Żywocie, który zamieszkałam w sławie i w poświęceniu—
Przybytku mój! Odechł na chwilę wicko trumny twojej; bo oto
po raz dwunasty, Anioł Zemsty wybija na miedziarém czole
tych katów godzinę, w której zwykłeś przyjmować mnie do
łona twojego.

Oddanie IV. Północna Gw.

Żywocie, który zamieszkuje w pamięci i w pokucie — Zakonie
mój! Otrząśnij się z cizy grobowca i rozmów się z duszą twoją.
Wszakżeś jej zaręczony na wieki, jak Kościół Chrystusowi.
mimo wyroków ziemskich, mimo śmicrei ziemskiej. A oto
rocznica naszego ślubu.

Żywocie, który zamieszkałam w miłości i w szczęściu —
Endymionie mój! Nadaremnie noc otuliła cię mrokiem i mil-

ezeniem; bo zanim, jako lat temu dwanaście, nawiedzę cię w łunie ogniów rotowych, oto — rozpraszam noc, i wśród milczenia, po promieniu, którym cię Bóg związał ze mną na wieki, schodzę do tajników spoczynku twego.

Nieżal się na mnie — Oblubieńczy mój! że niedziękę ziemskiej niewoli twojej; żem uniosła klejnot życia twój w przestrzenie, których niedosięga grot królów. Oh! żebys wiedział, co ja cierpię w tej swobodzie mojej! Tyś braniec, alem ja wygnanka! Od chwili rozstania się naszego, niema schronienia, niema spoczynku dla mnie w przestworach stworzenia. Błądę nad ziemią jak kometa. Straszę ludzkosć mojęm nieczytelnym dla niej spojrzeniem. Wieszam się jak groźba Danijela po ścianach zaklętych. Jedne ludy korzą się w trwodze swojej przedemną, jak przed zakrwawionym księżycem, który zapowiadał zniszczenie zepsutym synom Adama, i mniemając żem Moloch, dzieci na ofiarę mi nosią; inne przymilają mi się wszetecznicy, jak zalotnicy wzgardzonej, i wabią mię do Baltazarowej biesiady. A ile razy zejść do pieczar, gdzie siepacze pastwią się nad męczennikami twoimi; ile razy widmo moje roztoczę nad twoim ementarzem, — królowie obstawiają mgłę moją strażami, i klną potem, jak żołnierze Pilata, nad próżnym grobem Syna Bożego.

Bo dla mnie wygnanki, widzisz, niema miejsca jak na łonie twojem. Bez ciebie, bez objęcia twój, brak głosu moim wołaniom, brak ramienia mój woli, brak klucza hieroglifom moim. Jestem jak piramida przedwieczna wśród podejrzenia wędrowców, co niewiedzą czym świątynia, czym rusztowanie? I mimo potęgi i nieśmiertelności mojej, trawię się w samotności majestatu mojego, jak Jehowa nim zawołał: Stań się!

Ile razy pożoga uniesie mnie od ciebie w dymie twój, męczennickiego stosu, w jękach twój, konania, zdaje mi się na chwilę, że szerokie gniazdo, jakie nam przeznaczenie posłało na progę Europy, niema już służyć naszemu słubowi. Wtedy obiegam krąg ziemski, jak ten szelst złowieszczy, co poprzeda przenosiny ludów, i szukam nowego wcielenia. Tonę w bezdennościach niewiary; to znów pnę się po tęczy łez moich aż do tronu Boga, aby stracić z oczu twe męki; ale mi wszędzie ekliwa, i wokół twego grobowca widzę tylko zamęt czarny; a im wyżej się wzbiję, tym zamęt ten szerszy i ciemniejszy. Jakże niewracać do ciebie — Przybytku mój!

A nicnyśl oto, ażeby w wędrowek moich, wśród wieków i światów, podczas letargu twój, nieuniosła nic, prócz niemękiej żaloby i marnego znużenia. Żaloba nieśmiertelności jest jak noc pogodna, która odsłania tajemnice niebios bezsensnym mędrom. To też ile razy wracam do ciebie, czuję się coraz lepszą i potężniejszą. Po drodze mojej zbieram od najdalszych gwiazd światło do pochodni dla ciebie. Łamię korony, po których depeczę, dla ulania ci zbroi. Wyrząsam ze spruchiałej ziemi, czémby uradować Zmartwychwstanie twoje, i upokorzyć Przeszłość, która ci na chwilę upaść pozwoliła. Chcę ażeby pogrzeb twój był tylko tryumfalnym wjazdem do Przyszłości, i ażebyś budząc się, znalazł jak słońce, zaprzężony rydwan pod kotarą jutrzejki.

Długo, nieodstępna towarzysza twoich ziemskich trudów, siadałam razem z tobą na konia, i biegłam rozkończona, wśród zamroczony uocentę, jak Lenora za Rycerzem-Szkieletem. Wtedy niezaglądałam pod przyłbicę twą, niepytałam czyj ponnik rozbijem; nieczułam twój twardęj piersi pod twardszym jeszcze panczerem; a tentent twój, czwał, brałam za bicie serca twój. I tak deptaliśmy świat, sypiąc za sobą iskry, które wiatr stepowy niósł na żniwa poddańcze, prując przed

sobą Azyę, która nas mijala, a bokiem lala się na Chrześcijaństwo.

Jakę ty mi wtedy wydawał się piękny — Rycerzu mój! Dla mnie wówczas Ludzkosć ograniczala się brzegiem twój, siodła; zdawało mi się, że Bóg wszystkie prawa swoje zawiesił na strzemienu twój, i że czegoś niedolał porwać w twym lecie, to wszystko, było tylko kurzawą i cieniem do twój, Apoteozy. Aż oto nad grobem uczułam, żeśmy zblądzi.

A przecież, długo jeszcze po twój, zgonie, włóczyłam się z twą trumną, jak Johanna kastylska z trupem pięknego Filipa; rozmawiałam z tobą dawnym naszym językiem; stroiłam cię po dawnemu w zbroję, w czaple pióra, w purpurę i w berło; uśmiechałam się do twój, surowego i niemego czoła, biorąc krew rozsmazaną po twój, licach za rumieniec zapalów, a własne moje uściski, za twoje.

Wtedy grabarze myśląc, żeś ty sultan azyatycki, chcieli mnie razem z tobą wtrącić pod kamień, jako najukochańszą niewolnicę twą. Ale Chrystus Pan, który nas zaślubił, rzekł mi: «Córko moja! u pogan tylko dusza umiera z ciałem. Jam dał duszy nieśmiertelność, ażeby zaślepienie cielesności nie mogło przesądzać wyroków moich. Jeżeli są narody pozbawione duszy, tych śmierć jest niepowrotna. Te potwory powinny jak sultan azyatycki, zagrzebać ze sobą wszystkie ślady swój, panowania. Ale Polska, którąm wykolysał w ciemnistę chwale mojej korony; naród, który wybralem między tysiącem, ku ziszczeniu godła mojego żywota, niemoże umrzeć, chyba jak ja. Zaczem tedy ciało jego złożyć w grobie, ty, córko moja, zejść za moim śladem do czyszcza ujarzmionych ludów, i jak ja, rozdarszy opunc Starego Przymierza, wzbij się z ciałem twój, do nieśmiertelności.»

A tak mówiąc Syn Boży, wskazał na ogień Znicza, który gasł w pogrzebowym kaganacu, i struchlała, oderwał mnie na chwilę od ciebie, ażebym się wzniosła nad poziom naszęj przeszłości, i aż w głębi niebios zapaliła na nowo pochodnię twój, życia. Po raz pierwszy sięgnalem oczyma za ciasną widownię, jaką przez ośm wieków barce twoje zakreśliły okolo nas. Ah! Rycerzu mój! czémże dla wzroku wysokość najroślejściej rumaka w porównaniu ze szczytem Golgoty?... Czémże ciekawosć i najdłuższęj włóczni przy przenikliwosci męczeństwa?...

Co w tentencie czwał, co w gorące tryumfu, zdawało nam się kurzawą i cieniem do twój, Apoteozy, wiesz-że ty, co to było?... Oto całą Ludzkosć, w którą utonął jak żdźbło z bałmatem twój, ze zbroją żelazną, z gniewem twym ajaxowym, z całą tą pompą szlachectwa, w którą się odziewał, jak piorun strojący się w huragan! Pod tobą, nad tobą, wokół ciebie, laly się czasy i pokolenia, a tyś patrzył na nie, jak się patrzy tabun tatarski na lany klanające się jego zapędowi! Czuliś ty, kiedy lza potratowanego gminu, kiedy krew niedosć szybko ustępującęj ciżby, zbrzygały strzemię twoje?... Jam to czuła czasami, ale w rozmilowaniu mojem dla ciebie, myślałam szalona, że to rubiny gorące sypic niebo na strój oblubienca mojego. Aż rdza przepaliła ci zbroję i obnażyła twój szkielet!

I zblądziłeś do grobu, boś czwałował w ciemnościach.

Teraz, przynosząc z pielgrzymki mojej pochodnię, złożoną jak bukiet weselny, ze wszystkich promieni jakeimi słońce przejezawszy się w zwierciadle niebokręgu, runieni wiosnę świata. Jestto harmonija społeczeństwa w równości, sile i miłości. Pochodnia ta, którą niegdys Promoteusz wykradł słońcu,

obiegła już kilka razy krąg ziemski, i dziś zatrzymała się u zenitu twego grobowca; aby wskreszenie twoich popiołów było zarazem świecznikiem zboru dla świętęj Ludów karawany. Jest to ten sam i nieśmiertelny płomień, który kolejno błyszczał na ołtarzach egipskich, na infule Jaddusa, w świątyni Elenzis — i nazywał się *Teokracją*; w oczach orłów rzymskich — i nazywał się *Podbojem*; wokoło głowy Chrystusa — i nazywał się *Miłością*; stąd łuna jego zesłała na tjarę papieżów, a stąd na szyszaki baronów i na europejskie korony. Ale płomień ten — Rycerzu mój! znowu strudził wieki i strażę swoją nieśmiertelnością. Biada Chorążemu, którego ręka trząsąc się poczyna pod targaniem tego ognistego sztandaru, bo on, co na chwilę ustać nie może w obiegu swoim, jak raca bez stępu, tratuje i pali własne batalijony. Dziś on wyrwa się z rąk królów — a imię jego — *Demokracja*. Jeżeli chcesz tedy być Chorążym Ludów, niezasypiaj twego południa w grobowcu, ale powstań, i przykrepnij się do pochodni onęj, jak Jozue do Słońca.

Oświecony tą pochodnią, niebłąkasz się już w drodze twojej; nieustraszisz już miary między przestrzenią a czasem; niezasłiesz się w samotności twojej pychy i twego gniewu; niezasłiesz jak Sanson, pod nożycami rozkosznej swawolnicy. Z pochodnią tą będziesz przodkował Ludom do kapitolu Wolności, jak im wczora przodkowali królowie w Potędze politycznej, jak dawniej niżli królowie, przodkowało im Kapłaństwo na drodze Wiary. Niebędziesz już ani krzyżowcem, ani wojewodą. Przystaniesz żyć w jednym rycerzu i w jednym rumaku. Widokrąg twój rozszerzy się i rozwidni do najdalszych krańców twego jestestwa. Sąsiedzi twoi niebędą się bić o koronę twoją i o włości twoje, ale o Słowo twoje i o Miłość twoją, bo niebędziesz lepianką kongresów królewskich, ale LUDEM POLSKIM.

Jak z grzbietu Tatrów, ukoń przed okiem wędrownicy samotni i pojedyncze kamienie, a na ich miejscu rozpościera się kobierzec miast, dolin i powiatów całych, tak skoro do Demokracji się wzbijesz, historia twoja wyjdzie z karłowatości szlacheckiego rapsodu, i stanie się księgą liryczną odrodzonej Europy. I będziesz się miał do przeszłości twojej, jak Hekla do kretowiska; jak pałace Cyklopów, których zamieć afrykańskich piasków pożreć niezdolna dotąd, do gniazda owadowego. Wtedy zostaniesz nieśmiertelnym, bo Europa, która zezwoliła na śmieć cząstki narodu, nieczewoli na śmierć narodu całego; bo do zagrzebania szlachty polskiej, dość szerokie były emmentarze Częstochowy, Maciejowic i Woli, ale dla pochowania Ludu Polskiego, trzeba było, jak dla złożenia zwłoków Alaryka, odwrócić rzek koryta, jak dla pogrzebania Tytanów, Tetry do Bałtyku strącić.

Skoro odżyjesz w całym Ludzie Polskim — Rycerzu mój! będziesz jak hydra Lery, jak bałwany oceanu, jak lasy Ameryki. Pod maczugą Aleyda, pod pragnieniem równika, w płomieniach pożarów, rozmnażać się będziesz z krwi własnej, z pary własnej, z popiołów własnych. Nieroztęną już twego tronu, bo tron twój niebędzie z zalanego drzewa, ale z piętr granitowych, jakimi Bóg podmurował państwo twoje od źródeł Odry do morza Czarnego. Niewypłenią już twojej wiary, bo monstancją hostyi twojej, będzie serce bijące w milionach, a każdy Polak nosić będzie ukrzyżowanego Chrystusa na rękoności swej szabli. Niewydrą ci już ziemi twojej, bo Ziemia Polska niebędzie jak dotąd, schnąć i wędrować w trzosach panów, ale przygwożdżona milionem soch do kości polskich, rozplodni się dla wszystkich, i nieda się oderwać od Polski, chyba z grobanii całej Polski.

I świat będzie musiał iść za tobą, za twoim krokiem olbrzymim, za głosem twoim grzmotliwym, bo gdzie stąpisz, to się biegun kuli ziemskiej przechylą; bo kiedy krzykniesz, to cię najpóźniejsze pokolenia dosłyszą, i zmartwychwstali na dolinie Jozafata, sądzeni będą twoim językiem.

Nim zapracujesz w pokucie letargu na chorążostwo ziemskiej świetlicy, dane ci jest życie nadziemskie, podobne do snu Jakoba. Jak on — odarty, znużony wędrowką, położyłeś się na stepie, i sparłszy głowę na twardym kamieniu, widzisz drabinę sięgającą od ziemi do nieba, po której schodzą do ciebie Anioły, zwiastując ci chwałę i szczęście twego potomstwa. Takie ci marzenie, przynoszę ja — Dusza twoja, ze zmrokiem, od lat dwunastu, co 29 LISTOPADA. I póki kur pianiem swoim nicodegna mnie znów od twego nagłowka, żyjesz rzeźwym życiem Przyszłości, i przyciskasz mnie do łona twojego — Oblubieńcze mój!

W tych kilku godzinach rajskich ułudzeń, zapożyczasz się na wieki. W tych kilku godzinach ciemnych i milczących dla reszty świata — na całej powierzchni Polski tętni i goręje RZECZPOSPOLITA POLSKA. Jak w zapadłym zamku, niedostępnym dla oczu śmiertelnych, i którego straszliwe wesele, zdaje się wędrowcom, szamotaniem zawieruchy między zwałiskami — na wszystkich górach, na wszystkich wierzchołkach, na wszystkich jeziorach, na wszystkich emmentarzach Polski, razem zapala się, żarzy dla wtajemniczonych, las gromnic i komet szkarłatnych — niezmierny okiem ziemskim, niewypowiedziany słowem ziemskim. Kędy tylko posoka nasza, albo ojców naszych, zarumieniła szczytną sławiańską, rozkwita się krater rozległy jak pobojo-wisko, i na urwiskach kraterów, jak na stopniach tytanego kolizeum, zasiadają pulki i pokolenia, całe w zbroi, w szyku i w postaci, w jakich je czas zagrzebał. Cyprysy na grobach, dęby w puszczy, jodły na skalach, sosny wśród śnieżnej zawieci, zapuszczają się krwią leżących pod nimi zastępów — które z podniesieniem do księżycy pięściami, wołają o pomstę. Srebrne kopuły, świątynie z krzyżami, zamki zębate, sejmów gwarliwe kola, siola i miasta występują z łogiem na ramionach brodatych wieków, i jak pieśń chrześcijańska wnoszą się pod niebo, przy jęku dzwonów i w chmurach mirry. A wszystko — czas, sejmny, lasy, miasta i pulki, obrócone czołem do Warszawy, którą w tej chwili, jak temu lat dwadzieścia, broczy łuna przedmiejskiego pożaru, i wstrząsa rozgłos zmartwychwstałej kano-nady.

W tych kilku godzinach obojętnych i mroźnych dla reszty świata, niema nędzy i upokorzenia dla tułacza, tłuźącego kamieniem po drogach Ameryki; niema sztyldwachów, niema kajdan dla więźniów Nerezyńska i Kufsztejna; niema żaloby dla dzieci osieroconych na emmentarzach Grochowa i Ostrołęki. Co 29 LISTOPADA, kajdany, ziemia obca, grób ojca, są dla każdego kamieniem Jakoba, i szczeblem niebieskiej drabiny. Odechł więc wieko trunny twojej — Rycerzu mój! i wzbij się okiem na szczyt tej drabiny. Na szczeblu jej najwyższym ujrzyś przyszłe dzieci twego potomstwa; nadechdzi albowiem czas, w którym Ludy pytać się eichbie będą o drogę do Wieczności, a w którym sen o chwale umarłej, niebędzie odpowiedzią.

II. WIDZENIE.

Patrz na wschody szerokie jak oś świata, wysokie jak nie-skończoność. Podstawą opierają się na Nadyrze, szczytem zawieszony u Zenitu, gdzie tli się tron Boga. To *Via sacra*, po której masz prowadzić Ludzkosć do kapitolu powszechnej Wol-

ności. Jestto owa drabina, którą Jakób widział w śnie dziecięcym, w dzieciństwie świata, w rozmiarach dziecięcej zrenicy. Od wicków Jakóba, i świat urosł, i drabina urosła, i obraz Przyszłości twojej olbrzymi przy śnie Jakóba. Bóg tylko jeden, tli się zawsze ten sam, pogodny i nieśmiertelny u jej szczytu.

U spodu drabiny pożar rozległy, nieubłagany, pochłania trony królów, przemienionych w posagi lodowe, i pędzi do długich mroków i do długich zim Petersburga. Zapaliła go pochodnia Prometheusa, wytracona z rąk najdumniejszego z samowładzców Europy, przez ścisł narodów rozpetanych na moje skinienie. I naprzód posagi lodowe dla przedłużenia panowania swojego, jak niegdyś baronowie z czarnoksiężnikami, zawarły przymierze z Arymanem Azji. Nadaremnie zamknęły się w granitowych twierdzeniach, okuły się w pancerz spiżowy, i blade, nieruchome, obsiadły najstromsze szczyty państw swoich, jak pułk skazany do bronienia prochowni od latających w około iskier. A choć tryskają na pożar całą krew swoich niewolników; choć walą do niego z armat jak okręt do trąby morskiej; choć przed sobą obalili świątynie, biblijoteki, przedmieścia i miasta całe, ażeby pustynią odgrodzić się od śmierci — pożar je obległ, dosięgnął, i skrzeplę, na kłębach dymu zaniósł jak piryty wezuwijejskie, tam, gdzie pamięć ludzka ledwie dosięga. Dziś, stoją niemym rzędem, z przymarzłemi do czaszek koronami, pomieszczone z krami morza arktycznego, jak kawały zburzonej od wicków kolumnady. Wicher północny śpiewa im wieczną ironię, a zasy pył słońca ich grobowym całunem.

Na dalszym szczeblu, u granic zniszczenia, świat nowy występuje z chaosu. Luna znów się zbiegła w bukiet godowy, i pogodnie się wznosi ku Bożemu tronowi. Jak jest godzina dwunasta dla wszystkich ludów południka, na którym siada słońce, tak na całej szerokości szczebla panuje Demokracja. Aleś przodkując światu stopą atlasową, przechylił oś ziemi ku sobie, i co niewydażyło za tobą, skosiło w pomrok. Zaćmiłeś wtedy zachód cieniem twojej wielkości, i przeniosłeś do ziemi twojej, stolicę żyły ziemskiej z ogniskiem prometeuszowej świetlicy. To też masz na jednym szczeblu Wolność w Zgrzybiałości — i Wolność w Młodości. Patrzaj!

Czy widzisz, jak powoli gasną gwiazdy nad staroziemnymi grodami ludów celtyckich i germańskich? A nikt ich niezawojował. Grody te zowią się jeszcze siedmiu cudami Cywilizacji. Pałace ich iskrzą się, jak nigdy, tysiącami światła ziemskich. Tłum nieprzejęzyczny strumieni się korytami ich ulic. Przedmieścia ich przelazły przez szanice, i jak rak olbrzymi, coraz szerzej toczą okoliczne bory, wzgórza i równiny. Zieloność, woda, pory roku, wszystkie królestwa roślin i zwierząt, skryły się pod marmur i granit. Państwa całe zbiegły się do miasta jak krew do aneurizmu, kiedy serce ma pęknąć. Na skamieniałej naturze został się człowiek wolny z Chemiją i z Melancholiją. Zdaje się, że jak Roma i Bizancjum zużywszy wszystkie mądrości, i wszystkie rozkosze ziemskie, czekają w obojętnej niemocy, aż twoje czerstwe konary niepokryją ich zbutwiałego majestatu.

Teraz, spojrzaj na miejsce twojego grobu. Nieostrzeżesz go, chyba w śpiewach twych starców — tak szeroko i bujno zarosło gęstwiną plemienia twojego. Paszcza Wulkanu stała się Hesperydą, pod berłem Równości i Rozumu. I tam miasto, jedno, potężne; ale ulicami jego całe doliny; ogrodami całe lasy; pomocnikami kopce, na czaszkach których, rozkładają się całe obozy sejmowe i sterczą kościoły o dwudziestu przysionkach. I tam są widowiska radosne, nieustanne; ale w widowni takiej objętości, że dla zbudowania jej, pożar rewolucyjny musiał wprzód wywrócić trzy ościenne caraty. A rewerberami jego,

planety połowy nieba, a imię jego — POLSKA, a przedmieściami Wiedeń, Berlin, Petersburg, Moskwa i Jassy. A w mieście tam, nie kamień zawojował i spocił ziemię, ale zieloność wspięła się na urwiska, osuszyła moczary, obległa piaski, zwyciężyła pustkowia. I tam człowiek rozwinął tajemnice stworzenia, i żywego niewolnika zastąpił parą i cyframi; tylko niedużył tych skrzydeł Ikara, i podarek ten niebios, obrócił na uzacnienie swojej natury. Nieprzeto wyzwolił ciado, ażeby się zarazem uwolnić od trudów ducha, ale żeby z pracy zrobić urząd szlachetny, a z jej zasług najwyższy przedmiot chwały ziemskiej. To też senatorami potężnej tej gminy są weterany pług i warsztatów — Herkulesy mitologii demokratycznej. Mądrość, jaką uskarbili odwracając sochą karty księgi ziemskiej, odbiła się w nieprzeliczone exemplarze i złała się w zasadę konstytucyj państwa. Jak staremu Rzymowi do podbojów pogańskich, dziś — Polakom — w zwycięstwach chrześcijańskiego postępu, za sztandar służy pęk siana. Przed tym sztandarem skłonił się świat.

Stumilowe skiby, jak grzywa, spływające od grzbietu Karpat i Waldajskiej wyżyny, do obu mórz sławiańskich, niły szkielet Lewijatana, ocalały przed pożarem, który pochłoniął Stary Testament, i odziały się imieniem twoim. Z tego ogromnego nirowiska, jak po potopie synowie Noego z Azji szczytów, roztoczyłeś zdroje twojego życia na całą Sławiańszczyznę, i stałeś się biegunem magnetycznym, ku któremu odwróciło się wszystko, czego tylko, on potop ognisty, niezamienił w popiół, w kamień i w martwość.

Precz, w koło ciebie, leżą zadymione zwaliska państw głosińszych, mędrzych, płodniejszych od ciebie. Dziś, ledwie doczytać się można ich herbów, pod rosochami rozprómięconej nad niemi RZECZYPOSPOLITEJ. Kiedyś im jak Noe, zapowiadał potop Demokracji, one dumne swą zgrzybiałością, nie rozumiały nawet twojego języka, i uragały się z twęj trumny, niewierząc, ażeby Bóg, mógł zamknąć w nią zaród nowej Ludzkości. Nagle rozwarły się podwoje niebios, i deszcz pałacy wzbil się nad wieże telegrafów, nad korony carów, nad kupy złota, nad rachuby kongresów, nad przezorność egoizmu, nad czujność policyi, nad interes pokoju, nad moc i upór wszystkiego, co ciężarem i korzeniami swojemi przykrepowowało się jak polip do staroziemnej. Wtedy — Rycerzu mój! Grob twój ulżony z koron i szkatuł, stał się korabiem Przyszłości, i zerwawszy się z zardzewiałych kajdan, wśród fal ognistych, niespoczął aż na sławiańskiej Arara — gdzie zesła do ciebie w tęczy przymierza.

Jak po pierwszym potopie znikły olbrzymie larwy, mamuty i smoki, z zabytkami chaosu które je karmiły, tak teraz Bóg, ognistym pędzlem wymazał na zawsze z kobierca ziemskiego tyraniję przemocy i krwawe podboje. A przeciw potęgą naszą rozleglejsza od caratów Kanbizesa i Mikołaja; a zapędy nasze nienasyczone jak дума dawniej Romy; a tryumfy wspanialsze od wjazdu Alexandra do Babilonu. Ale to potęga Agatoklesa, Iwa wodzącego na wstędcę; zapędy Nilu w pustynię; tryumf jutrzennki przodkującej Ozyrysowi.

I tak będziem przodkować światu, dopóki niewieścimy w naszą miłość, w nasze szczęście ostatniej pustyni, ostatniej dzikości ziemskiej. A wtedy ziemia, jak owoc dojrzwały na całej powierzchni swojej, oderwie się od gałęzi gasnącego słońca, i wzniesie się do najwyższego szczebla Jakóbowej drabiny, gdzie Bóg, rozgrzeszoną, przyjmie do swoich rozkoszy nieśmiertelnych.